№ 6 WARSZAWA, DNIA 8 LUTEGO 1913 ROKU ROK III



TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DORASTAJĄCEJ MŁODZIEŻY.

Książę Józef Poniatowski.

Ciąg dalszy.

Niestety, miasto nie mogło się obronić oblegającym Austryjakom i ks. Józef zdecydował się oddać stolicę wrogowi, zabezpieczywszy tylko swobodny odwrót wojsku.

Po wyjściu z Warszawy wojska polskie przeprawiały się na prawy brzeg Wisły, na Pragę; kiedy Austryjacy chcieli zająć i Pragę, książę odpowiedział, iż każe natychmiast strzelać do Austryjaków w Warszawie, jak do obcego miasta i tą stanowczą postawą zmusił ich do ustępstwa.

Wyprowadziwszy wojsko za Bug, książę Józef zwołał radę wojenną, na której generał Dąbrowski rzucił szczęśliwą myśl, aby uderzyć na Galicję. Poniatowski myśl tę przyjął i przystąpił niezwłocznie do wykonania zamierzonego planu. Nastąpiły zwycięskie bitwy pod Grochowem i Ostrówkiem, a dalej tryumfalny jakby pochód do Galicji.

Książę Józef wyprawił generała Dąbrowskiego do Poznania dla zorganizowania Wielkopolski, a Zajączkowi powierzył rezerwy na prawym brzegu Wisły.

„Rocznica Ustawy majowej, uświetniona wzięciem szańca przedmostowego pod Grisą przez generała Michała Sokolnickiego, najszczęśliwiej otwierała działania księcia na lewym brzegu Wisły. Z Wiązowny wydał on pierwszą odezwę do Polaków pod panowaniem austryjackiem. Stąd żwawo ruszył na linję Sanu przez Kock, Lubartów do Lublina, śród rosnącego z dniem każdym, każdym krokiem, powszechnego zapału wyzwolonej ludno-



Książę Józef pod Raszynem. Na lewo w głębi żołnierze niosą rannego Godebskiego (dn. 19 Kwietnia 1809 r.).

ści. Przyjąwszy w Lubartowie deputację galicyjską, odbył w połowie Maja tryumfalny niemal wjazd do Lublina. Tym razem fortuna uśmiechnęła się do wypróbowanego tak ciężko narodu i wodza. Potężna fala uniesienia porywała, jednoczyła wszystkich, bratała, zacierały się stare przeciwieństwa i niezgody...

W drugiej połowie Maja wzięty został Sandomierz przez Sokolnickiego, najczynniejszego w tej wyprawie dowódcę. W trzy dni później stanął ks. Józef w zdobytym Zamościu; we dwa dni potem jego podjazdy wstąpiły do Lwowa. W przeciągu jednego miesiąca prawie cała Galicja była w jego ręku. Równocześnie w początku Czerwca, Austryjacy, zaskoczeni temi nadzwyczajnemi wypadkami, opróżnili Warszawę po kilkotygodniowem zaledwo władaniu. Księstwo odzyskiwało wolność, otrzymując jako zdobycz większą od siebie Galicję. Dzielnica austryjacka łączyła się z pruską dzielnicą rozbiorową.

Wojsko polskie ks. Józefa mnożyło się niby cudem, podwajało się, potrajało raptownie, aż urosło z górą w czwórnasób. Warszawa, Kraków, Lwów podawały sobie ręce".*)

Pomimo jednak tryumfów i ciągłych zwycięstw, książę ani przez chwilę nie miał złudzeń co do dalszej sytuacji. Armja rossyjska pod wodzą ks. Golicyna, pozornie w przyjacielskich zamiarach, jako sprzymierzeniec Francji, groziła bez-

*) Szymon Askenazy. Książę Józef Poniatowski, str. 156.

ustannie od tyłu; ciągle silniejsza liczebnie armja austryjacka nie była jeszcze zwyciężona. Przytem w tych czasach nastąpiły niepomyślne dla Francuzów bitwy pod Aspernem i Esslingem, co nie pozwalało Napoleonowi zająć się sprawą polską.

Dopiero po zwycięskiej bitwie pod Wagram sytuacja zaczęła się wyjaśniać, a wreszcie pokój zawarty w połowie Październka 1809 r. w Schoenbrunnnie, podwajał niemal rozmiary Księstwa Warszawskiego.

Wówczas to książę Józef zajął wreszcie właściwe mu znaczenie w narodzie.

„Chwała szczęśliwej wyprawy, zasługa doniosłej zdobyczy, sprawiedliwie spłynęły na jego dzielną i szlachetną, a tak długo zapoznawaną głowę. Imię jego, wyzwolone z ostatnich hańbiących oddźwięków smutnej pamięci Stanisława-Augusta, własnym odtąd tytułem zaczyna nabywać heroicznego swego brzmienia w kraju i Europie. Odbierał Poniatowski zaszczytne dowody uznania od swoich i obcych. Napoleon, który w czasie kampanji niejednokrotnie w pismach, rozkazach i biuletynach wyrażał żywe zadowolenie z jego czynności wojennych, zaraz po zawarciu pokoju posłał mu złotą szablę honorową jako dowod wyjątkowego odznaczenia; Fryderyk August pośpieszył także z należną wodzowi nagrodą od księstwa.

D. c. n.

POGOŃ NAOKOŁO ZIEMI

OPOWIADANIE WSPÓŁCZESNE

opracował **J. Szczawiński.**

Ciąg dalszy.

Mężczyźni udali się w kierunku linji kolejowej; zdaleka już widzieli, że tylko część wagonów stała na szynach. Tornado przeciął pociąg, zabierając z sobą ostatnie cztery wagony—na szczęście były to puste towarowe wagony, podczas gdy przednie wagony wraz z lokomotywą, nietknięte, oczekiwały na swych podróżnych.

Prowadzący pociąg czynił przygotowania do dalszej drogi, a Chmurzyński przyglądał się tymczasem uważnie gospodarzowi fermy. Był to silny, ogorzały, pięćdziesięcioletni mężczyzna, o energicznych rysach, z nawpół siwą, krótko ostrzyżoną brodą.

Jego angielska mowa o dziwnym akcencie odrazu zwróciła uwagę młodego inżyniera, spytał więc go czy nie ma przed sobą czasem rodaka.

— Tak jest, jestem Polakiem! — krzyk-

nął fermer.—Nazywam się właściwie Wincenty Maślak, lecz nazywają mnie tu Mistrz Wilk. Od dwudziestu lat mieszkam już na tej ziemi, prawie tak jak dziki, lecz zawsze cieszę się, gdy mam sposobność witać współrodaka!

— Czuje się pan bardzo osamotnionym?—pytał Jan.

— Zaproszenie pana przyjmujemy z przyjemnością; dla naszej sprawy jest ono nawet pożądane.

Jan zrozumiał, o co idzie towarzyszowi, uścisnął więc dłoń gospodarza na znak zgody.

Gościnny fermer polecił czarnemu służącemu przynieść rzeczy gości do fermy,



... O znajdujący się na podwórzu pal, formalnie owinął się wóz fermera.
Nr. 5 str. 73.

— Do wszystkiego można się przyzwyczaić—odparł Wilk.—Nie mam żony, ani dziecka, gospodaruję sam z kilkoma pastuchami i czerwonymi; nie brak nam jednak ani pracy, ani też rozrywek. Co do tych rozrywek, to pewnie panowie powątpiewacie — rzekł, uśmiechając się. — Więc dla przekonania proponuję panom: zostańcie u mnie na kilka dni, ponieważ sam los was tu skierował, i dzielcie ze mną mój skromny żywot. Wybaczcie moje niezbyt może zręczne zaproszenie: jestem człowiek prosty, nie umiem inaczej.

Inżynier nie wiedział w pierwszej chwili, co ma odpowiedzieć na to zaproszenie, lecz Monsard, posiadający dar wykorzystania każdej sposobności, śpiesznie go wyręczył.

tymczasem pociąg ruszył z pozostałymi pasażerami w drogę, a Jan i Karol udali się do zagrody.

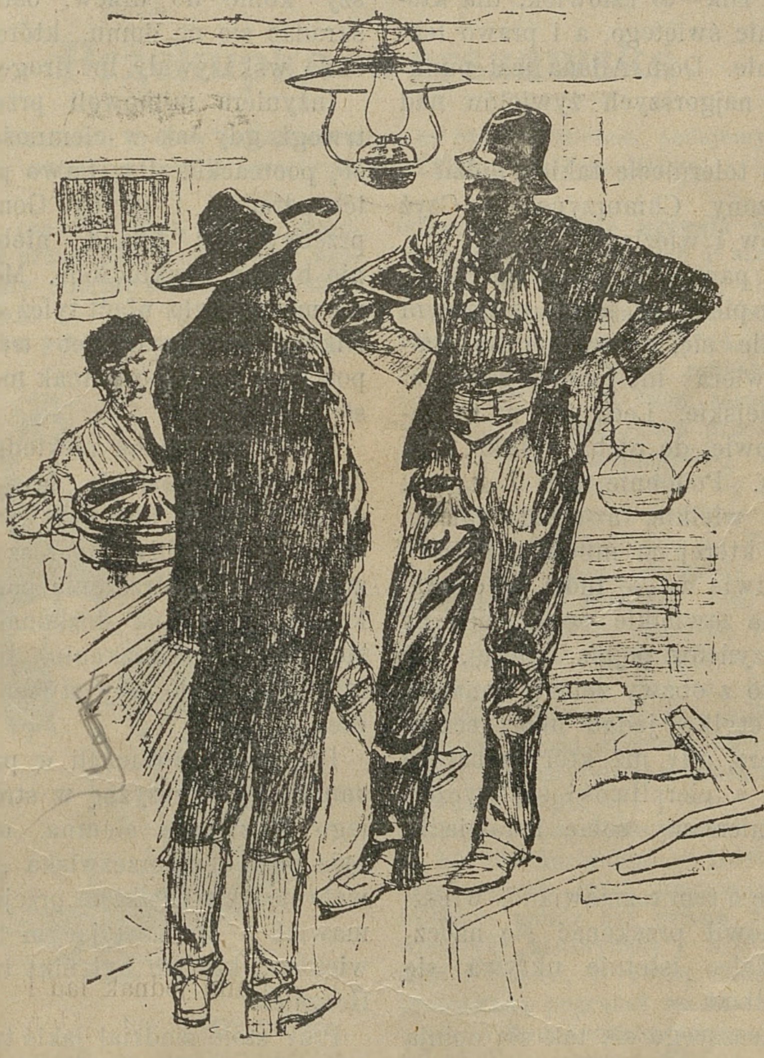
Wnętrze zagrody sprawiło na przybyłych nadspodziewanie miłe wrażenie. Wprawdzie dom zrobiony był z dość surowo ociosanych zwykłych desek, panował w nim jednak ład i porządek. W obszernym pokoju znajdował się komin, na którym późnym wieczorem płonęło zwykle kilka żywicznych szczap, gdyż noce na tym płaskowzgórzu już niekiedy w jesieni są dotkliwie zimne. Ściany zdobiły zdobyte na polowaniach piękne futra niedźwiedzi, skóry amerykańskich lwów, rogi potężnych bawołów i rzadkie okazy wypchanych ptaków.

Do pokoju tego przylegało jeszcze kil-

ka mniejszych, również schludnie urządzonych; w przybudówce zaś znajdowało się pomieszczenie dla gospodarstwa i służby.

— Zapewne w pierwszorzędnym hotelu

Goście nie kazali się też długo prosić i z dobrym apetytem jedli proste lecz smacznie przyrządzone potrawy. A i napojów też nie brakło. Wilk ofiarował gościom kilka butelek najlepszego wina.



Przyjaciele zobaczyli w pokoju rosłego mężczyznę...

wyglądałoby trochę inaczej—rzekł z uśmiechem fermer—jeżeli jednak nie jesteście, panowie, zbyt wybredni, to jakieś kilka nocy wytrzymacie na tem oto prostem posłaniu. Teraz zaś proszę ze mną na skromny posiłek. Bob, ten czarny malec, moja „służąca do wszystkiego" zna się wcale nieźle na kuchni.

Jedzenie i napoje rozwiązały języki gości, a wkrótce dowiedział się fermer, w jakim celu przybyli aż tutaj. Jan bez wahania opowiedział o wszystkiem szlachetnemu rodakowi i prosił o pomoc w odszukaniu zaginionego Gonzalesa.

Fermer spoważniał, wreszcie rzekł po namyśle:

— Jeśli Meksykańczyk skrył się w tej okolicy, to chyba tylko u pewnego Ryszarda Allana, zwanego „czarny Dik” *). Znam wszystkich moich sąsiadów w obrębie 50 mil i wiem, co z nich który wart. Czarny Dik—to człowiek, dla którego nie ma nic świętego, a i prawo lekceważy zupełnie. Dom Allana jest punktem zbornym najgorszych żywiołów nad Colorado.

— Dlaczego tolerujecie takich ludzi?—zapytał oburzony Chmurzyński. — Czyż niema tu sądów i więzień?

— Kochany panie—odparł fermer—widać, że po raz pierwszy jesteś w naszym kraju. Rozumie się, mamy kodeks karny, który zawiera nie mniej paragrafów, niż europejskie. Lecz, jak mówi rosyjskie przysłowie, do nieba wysoko, a do cesarza daleko. Podobnie jest i u nas: Colorado jest wielkie, a sędzia daleko. W okolicy, w której na milę kwadratową przypada zaledwie dwoje ludzi, sieć sprawiedliwości ma zawielkie oczka, aby na dziesięciu złoczyńców pojmać więcej, niż jednego. Często z obawy zemsty musimy przymknąć nietylko jedno oko, lecz obydwa. Dopiero, gdy już który zabardzo nam dokuczy, a cierpliwość się wyczerpie, sami wymierzamy sobie sprawiedliwość.

Długo jeszcze o tem rozmawiano, wreszcie Jan postanowił przekonać się naocznie, czy Gonzales istotnie ukrywa się w zagrodzie Allana.

Do domu, cieszącego się tak złą opinją człowieka, było półtory godziny konnej jazdy. Uczynny fermer wypożyczył swym gościom konie, a zalecając wielką ostrożność, dał im swego Boba, chytrego i zręcznego chłopca.

*) «Dik» — po angielsku poufała nazwa Ryszarda.

O zmierzchu udali się dwaj przyjaciele wraz z Bobem przez kamienistą prerję do zagrody Allana.

Kiedy podjeżdżali do zagrody, panowały tu już zupełne ciemności. Przywiązawszy konie do drzew, ostrożnie poczęli skradać się do domu, którego oświetlone okna wskazywały im drogę.

Inżyniera mimowoli przebiegł dreszcz trwogi, gdy tak w ciemnościach skradali się poomacku. Psy łatwo przecież mogły ich zdradzić i gdyby Gonzales istotnie przebywał u Allana, niebezpieczeństwo nie byłoby wykluczone. Meksykańczykowi można było ufać tyleż co i czarnemu Dikowi; gdyby nawet trzej mężczyźni posiadali broń, to jednak mogliby spotkać się z przemocą.

Wszystko jednak powiodło się nadspodziewanie szczęśliwie. Na podwórzu widocznie psów nie było wcale, a gęste drzewa pozwoliły nieproszonym gościom zupełnie niepostrzeżenie podejść tak blisko, że przez okna doskonale widzieli, co się działo w mieszkaniu. Jedno spojrzenie wystarczyło, aby stwierdzić przypuszczenie Wilka.

Przyjaciele zobaczyli w pokoju rosłego, smukłego mężczyznę w stroju kolonisty; jego niezwykle ciemna, opalona twarz była powodem przezwiska „czarny”. Zdawało się, że z wielkiem przejęciem się rozmawiał z obok stojącym młodym człowiekiem, którym był nikt inny, jak tylko Gonzales.

Przy stole siedział jakiś trzeci mężczyzna o niemiłych, dzikich rysach i przysłuchiwał się ożywionej rozmowie.

Chmurzyński i Monsard, przyjrzawszy się dobrze zacnej trójce, ostrożnie udali się do swych koni i późną już nocą wrócili do gościnnego domostwa.

(D. c. n.)

Przekupka warszawska.

(Wobec aktualnej sprawy zniesienia targu na Starem Mieście, podajemy kilka notatek o popularnym typie przekupki ze Starego Miasta).

Za dawnych czasów panią rynku staromiejskiego była przekupka warszawska, osoba, którą musiały otaczać atencją wszystkie panie warszawskie... I był to objaw zupełnie naturalny, bo przekupka z przed stu lat



Rys. A Piotrowskiego

nie miała konkurencji w postaci sklepów, sklepików, hal targowych i składów artykułów spożywczych, zarówno od frontu, jak w mieszkaniach prywatnych, panowała więc na rynku wszechwładnie i mogła dyktować prawa...

Charakterystykę przekupek staromiejskich pozostawił nam we wspomnieniach swoich K. Wł. Wójcicki.

Przekupka warszawska była przedewszystkiem okazałą i korpulentną, bo dobrze się odżywiała i mało używała ruchu, a jeżeli zdarzyły się wśród nich i szczuplejsze, wywymiar skromniejszy wcale nie wpływał na zmniejszenie wymiaru ich buty i poczucia zajmowanej sytuacji Stąd, bez względu na tuszę, wymowę miały jednakową, dosadną, bezapelacyjną, w imię zasady: „moje na wierzchu"... stąd rezon przekupki warszawskiej, a więc staromiejskiej, bo innej wtedy nie było w stolicy, stał się przysłowiowym.

O świcie damy te, strojne w czepce białe, śpieszyły na prymarję do Fary i oddawszy Bogu co Boskiego, zasiadały na rynku pod parasolami. Świadome roli, jaką żołądek w życiu ludzkiem odgrywa, one, dostawczynie materjału dla żołądków, nie mniejszej wymagały atencji, jak ta, która należy się mężom, dostarczającym posiłku mózgowi.

Jeżeli młoda gosposia, stosunków nieświadoma, nie zatytułowała przekupki „panią", — wówczas mogła być pewna, że usłyszy propozycję: „Idź sobie wasani gdzieindziej, bo tu nic nie dostaniesz..." Gdyby gosposi przyszła szalona myśl postawienia się hardo, wówczas mogła być pewną, że usłyszy dwuwierszyk „historyczny", który dokoła wzbudzał wesołość, a osobę bezpośrednio zainteresowaną pogrążał we łzach...

— Witam kochaną panią...— to była jedna z form dopuszczalnych. — Co słychać u drogiej pani? Jakże dzieci? Jakże się cieszę, że widzę kochaną panią w dobrem zdrowiu.

Tak przemawiała gospodyni doświadczona, w niepłonnej nadziei, że nawiązawszy z panią staromiejską węzeł serdeczny, odejdzie z dobrym towarem. A gdy dobito targu, konferencja na temat wydarzeń aktualnych była nietylko pożądana, lecz i wskazana, bo utrwalała te węzły serdeczne...

Oczywiście, że zajmując pozycje bezkon-

kurencyjne, przekupki prędko się dorabiały i nie krakło wśród nich zamożnych.

Miały także swoją resursę improwizowaną w cukierni, istniejącej wówczas w sąsiedztwie winiarni Fukiera. Tam w osobnym pokoiku, dla nich rezerwowanym, zbierały się po godzinach targowych, aby przy ponczyku gawędzić o tem, co je cieszyło, albo bolało...

Ale byłoby niesprawiedliwością mniemać, że „ambit" przekupek ówczesnych był wynikiem jedynie poczucia, że posiadały one siłą faktu monopol handlu wiktuałami spożywczemi, bo te przekupki nie tylko interesowały się sprawami publicznemi, ale często brały w nich żywy udział, nie posiadające zaś dzieci słynne były z opieki, jakiej udzielały sierotom.

Wójcicki z własnej obserwacji opowiada fakt następujący:

„Pamiętam dobrze panią Pawłową, mającą swój stragan z owocami i jarzynami na rynku, zaraz wchodząc od Zapiecka. Poznałem ją stąd, że mój kolega z trzeciej klasy od Pijarów, którego od pieluszek jako sierotę wyhodowała i ciągle się opiekowała, przyprowadził mnie do niej. Kiedyśmy stanęli przed straganem, mój towarzysz Juraszek. jakeśmy go zwali, pocałował ją w rękę, ja zdjąłem czapkę i powitałem uprzejmie.

„Pani Pawłowa Juraszka, pocałowawszy w głowę, przeżegnała, mnie się grzecznie odkłoniła i ofiarowała trzy piękne jabłka i pomarańczę. Nie wiedziałem, skąd ta łaska, dopiero Juraszek później mnie objaśnił, iż wiedziała, że jestem synem lekarza, który ją z ciężkiej wyleczył choroby. Miała teraz czworo sierot na wychowaniu, dwóch chłopców i dwie dziewczynki, nad któremi z miłością prawie macierzyńską czuwała.

„Nietylko jedna pani Pawłowa była taka, było ich więcej, stanowiły jakby bractwo miłosierdzia. Nie było w owe czasy towarzystwa dobroczynności, ale gdzie tylko nędza jęknęła, gdzie głodno i chłodno, już przekupki ze Starego Miaste dowiedziały się o tem: zaraz narada, składki i ratunek pożądany.

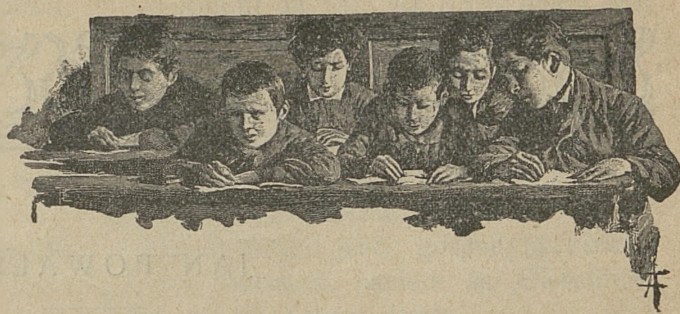
„Dziatwa ich odznaczała się urodą, synowie zdrowi, krzepcy i czerstwi, córki świeżego lica i rumieńca nieraz dziwiły pięknością oblicza i składem całej postaci. Pierwsi szli zwykle do rzemiosła, lub mieli swoje dorożki. Warszawa miała z nich wielu zdolnych ogrodników, którzy przy zamożności kupowali sobie na przedmieściach ogrody, uprawiali jarzyny i owoce, które matkom swoim na stragany dostarczali; ziemia podówczas była w nizkiej cenie i miasto nasze słynęło z ogrodów.

„Córki wychodziły za szewców, ślusarzy, kuśnierzy, rzeźników i rybaków zwyczajnie; o inne cechy mniej nasze przekupki dbały. Niejedna dorodniejsza szła za urzędnika i nikogo nie gorszyło, kiedy zięć całował w rękę matkę żony, siedzącą przy straganie".

Zmieniły się czasy, dziedziczki imienia „przekupki warszawskiej" są dziś rozrzucone w różnych punktach Warszawy. Miasto rozrosło się i w tym stosunku wzrosła ludność, ale przekupki wskutek konkurencji olbrzymiej straciły stanowisko dominujące, więc daremnie szukalibyśmy wśród nich dobrobytu, jaki panował jeszcze przed laty kilkudziesięciu na rynku staromiejskim. Bez trudu jednak znaleźlibyśmy serca dobre i prawe, a tam, gdzie lepiej się dzieje, i pragnienie oświaty dla dzieci i dobre uczynki...

Możnaby przytoczyć wiele dowodów, że i w naszych czasach potomstwo przekupek warszawskich dzięki rozumowi, energji i prywacjom rodziców przenika do świetlejszych szeregów społeczeństwa. Więc, choć charakterystyka dawnego typu znacznie zbladła wskutek warunków bytowania, — wiele pozostało z jego treści.

Miejmy nadzieję, że on nie zaginie, lecz wiernym pozostanie swojej protoplastce, zamaszystej, pełnej rozmachu, „pyskatej", ale z sercem złotem.



Marja Buyno.

KOLEDZY.

○ ○ ○ ○

Ciąg dalszy.

Stara Franciszka krzątała się po pokoiku, podawała mu jedzenie i mówiła, mówiła bez końca. Franciszka była jeszcze niańką jego matki, potem wyniańczyła jego, a teraz, w ciężkiej doli nie opuściła ich, ona jedna. Jest z nim i mateńką prędzej jako dobra przyjaciółka. Ktoś swój, z rodziny, więcej niż służąca. To też słowa tej dobrej przyjaciółki domowej zatargały nim i wzbudziły żal, nieco uspokojony.

On był krzywdzicielem, on użył swej siły, by pokonać słabszego!

Jak to się stało? Teraz dopiero uderzyło w niego to pytanie jak młotem: jakim sposobem? Dla czego?

Oparł na rękach ociężałą głowę, a stara Franciszkowa mówiła dalej, troskliwie ustawiając przed nim potrawy.

— No, niechże paniczek je! Franciszka dziś najulubieńsze potrawy przygotowała. Tak kazała pani, Jadwinia ukochana!

Franciszka, która jedna jedyna z licznej służby nie rozstawała się ze swoją panią, gdy zmieniły się warunki materjalne pani Strzemboszowej, często pozwalała sobie nazywać swą panią po imieniu, czego jej nie brano za złe.

Rozumna i dobra matka Michasia umiała ocenić Franciszkę i rozumiała, że obecnie, wobec zupełnego braku środków do życia, wobec tego, że trzeba było utrzymywać się jedynie z tego, co przynosiła praca nauczycielska pani Strzemboszowej, dobra kobieta objęła ster domu, była kucharką, gospodynią, pokojową i szwaczką w jednej osobie. A wszystko, co robiła, robiła tak pogodnie, tak serdecznie, jak to potrafią czynić matki, które dla dzieci ponoszą trudy, przewyższające nieraz ich siły.

Michasia uważała Franciszka ciągle za małe dziecko i w żaden sposób nie mogła się pogodzić z myślą, że to już chłopiec duży—czwartoklasista! Czasami tylko używała tytułu: paniczku, by okazać, że jednak nie uważa go za niemowlę.

— A czegoż to nie jesz, paniczku? Co, nie smakuje? Oj! oj! Coś tam w tych jasnych oczętach tli się niedobrego! Abyśmy tylko przez tę szkołę nie napytali się nowej biedy!

Franciszka była wielką przeciwniczką oddania Michasia do szkoły.

— Dla takiego, jak on, paniątka, profesorów by brać oddzielnych, żeby tę mądrą główkę oświecali, a nie pchać go do ławek razem z innemi, co nie wiedzieć, co w głowach mają. A trzymać przez tyle godzin dzieciaka w dusznych pokojach, to ani zdrowo, ani pożytecznie. Tylko nam te kochane, różowe pysie utraci!—mawiała Franciszka i jakkolwiek pogodzić się musiała wkońcu z myślą, że jej wychowaniec będzie chodził do szkoły, w duszy uważała to za krzywdę chłopca i przewidywała różne niemiłe następstwa.

(D. c. n.).

JAN POWALSKI.

W GRODZIE ŻAKÓW.

Ciąg dalszy.

W jej obliczu truchlał z podziwu i upajał się dumą, idąc lasem, obok Stacha, który słuchał zięb śpiewających i kukania wesołego kukułki.

Wtem z poza zakrętu wybiegło dwu konnych, i ujrzawszy wędrujących żaków, odrazu osadzili konie w miejscu.

— Widzieliście pacholka po pańsku odzianego? — krzyknął jeden.

Nim zdążyli coniebądź odrzec, drugi świstając biczem, zaklął:

— Niech to sto djabłów porwie! Tędy nie poleciał, bo konie pasą się z drugiej strony!

— Widzieliście, czy nie? — powtórzył pierwszy, szamocąc się z koniem, który się podrywał do biegu.

— Nie — rzekł Pietrek, odrazu bowiem zrozumiał, że to sprawa o schwytanie owego chłopaka. A za kim trzymać, jeśli nie za młodszym przeciw takim ścigaczom.

— No! — krzyknął ów — niech cię nie schwycę, jeśliś zełgał!

I popędzili dalej co koń wyskoczy.

Żacy poszli, oglądając się. Teraz obaj byli już bardzo zajęci zagadnieniem, co to za chłopiec? Co za ludzie go gonią?

Tymczasem wyszli na łąki i ujrzeli przed sobą wieś dużą, całą w sadach.

Dwór stał zaraz z kraja, od lasu. Dymiło się z komina, słychać było gdakanie kur i porykiwanie krowie.

Żacy wydobyli swoje garnuszki i z dobrą nadzieją skręcili z drogi ku dworskiemu obejściu, oglądając się jeno, czy psów niema.

Ale gościnni jacyś musieli być panowie, bo ani jeden pies nie szczeknął.

Weszli żacy na dziedziniec i zmierzali ku kuchni. Gdy już byli blizko, stanęli i odetchnąwszy, zaśpiewali razem pieśń pobożną:

Anno, matko Matki Bożej,
Nie racz gardzić prośby mojej,
Za mną się raczy przyczynić,
Tobie to łatwie uczynić.

Zaraz po pierwszych słowach wyszła gospodyni, sędziwa, wysoka, tęga w sobie baba, pochylona ledwie-ledwie pod ciężarem wieku.

Żacy, dokończywszy zwrotki, przestali śpiewać, a baba rzekła:

— Chcecie jeść?

— Juści—odpowiedział Pietrek.

Baba miała twarz spaloną słońcem, oczy przymrużone, jakby ustawicznie patrzyła gdzieś daleko. Kiedy mówiła, uśmiechała się i patrzyła zgóry, bo była wysoka. Żacy ku niej podnosili głowy, mówiąc, i wy-

dawała im się jak stara, dobra matka, sterana wiekiem, ale bardzo spokojna i niedbała na drobne rzeczy, mądra.

Żacy wyciągnęli garnuszki.

— Nie trza — rzekła gospodyni. – Jest u nas misek dość. Siadajcie, wnet wam dam wieczerzać, dzieci.

Poszła nazad. Jeszcze od drzwi się odwróciła i spytała:

— Kędy idziecie?

— Do Krakowa — rzekł Pietrek. — Do akademiej.

Nic nie odpowiedziała, poszła.

Żacy siedli na polanach przed kuchnią. Po małej chwili gospodyni zawołała przeze drzwi:

– Pójdźcie, dzieci!

Weszli, zdjąwszy czapki.

— Jedzcie, pożywajcie.

Podsuwała im na stole polewaną miskę, pełną kaszy z mlekiem

Stach, widząc tak dobrą wieczerzę, uradował się i życzył gospodyni zbawienia i korony niebieskiej.

— In vitam aeternam amen—rzekł Pietrek, który używał swojej łaciny umiejętnie a skrzętnie, jak chłop, co ma jeden tylko postronek, a sto potrzeb nim opędzi.

— Siadajcie, dzieci — odrzekła kobieta, dokładając każdemu po kawale czarnego chleba.

Dziewki paliły w piecu na chleb, a obok, w dzieży, przykrytej lnianym ręcznikiem, kwasiło się ciasto.

— Na naukę idziecie? — pytała gospodyni, przysiadłszy na ławie.

— Juści—rzekł Pietrek.

— A skądeście?

— Ja z Litwy — odezwał się Stach, uśmiechając się do niej.

— Tyli świat! A ten drugi?

— Z za Radomia—odrzekł Pietrek.

— Uszliście też, uszli kawał drogi niemały! A w Krakowie kie będziecie?

— Wiemy to?—rzekł Pietrek.

— Końmi od nas, jak droga dobra, trzy dni — powiedziała kobieta. A widząc, jak szybko jedli, zgłodniali, dodała:

— Bieda też to bieda, niebożęta! A matki tam kajsi pewnie oczy zapłakują.

— Ha, za to będą się potem radowały—powiedział Pietrek poważnie.

Gdy skończyli jeść, gospodyni rzekła:

— A zmówcie pacierz za Hieronima, żeby mu się dobrze działo.

— Nieboszczyka?—spytał Stach.

— Co zaś!—obruszyła się gospodyni.— Młody, jako i wy. Jeno, że ciężki czas na niego przyszedł.

-- Co?—spytał Pietrek.

Pokiwała głową. Nie wiedziała, czy mówić, czy nie. Ale zmartwienie przemogło i powiedziała:

— Trzech ich jest braci na tej to naszej wsi. Jeden wojuje, ani wiedzieć gdzie.. Drugi gospodarzy... Trzeci mały, samam toto wychowała, jak go macierz odumarła, stara pani... Jak wzięli radzić. jak wzięli listy pisać, to i uradzili: na naukę go, powiada, poślemy.

— Kto powiada?

— Ano: brat, Marcin, nasz pan, i z wujem, matczynym bratem, co jest księdzem w Krakowie, kanonikiem. Dziś przyszło pisanie od kanonika, pono żeby mu Hieronimka nic nie mieszkając posłali.

— I poślą?

— A poco mu to? — żywiej rzekła gospodyni.—Albo mu to w domu źle? Albo on nie pan tu u siebie, nie w swojem gnieździe? Jak mu to dziś pan Marcin powiedział, to on nic: ani słówkiem się nie sprzeciwił. Wyszedł ino i tyleście widzieli! Jak kamień w wodę! Kie się spostrzegli, ano, dalej szukać, kto żyw. Ale nie znajdą go tak snadnie, nie. Zna on tu wszystek kraj, skryje się i nie wróci, aż minie gniew pana Marcinowy. Mały pacholik, ale mądry, jak stary, swoje wie.

— Cóż — spróbował Pietrek — na naukę iść nie nieszczęście...

— Poco mu? — rzekła gospodyni. — Albo mu to tego potrza?

Jeszcze mówiła, gdy nagle z tętentem, zziajany, wbiegł konny na dziedziniec, puścił konia i wpadł do sieni, krzycząc z progu:

— Margola! Dawaj, babo, siekierę, a żywo! No!

A ujrzawszy żaków, zawołał:

— Toście wy nie widzieli w lesie nikogo? Czekaj wisielcze jeden z drugim, niechno pan Marcin wróci! Oprawi was, że ruski miesiąc popamiętacie! A tyś jeszcze tu? — krzyknął do gospodyni. — Dawaj siekierę!

— A poco? — spytała, ociągając się.

— Taki rozkaz pana Marcinowy! Żywiej!

Wyniosła z komory siekierę, a posłaniec, wskakując na konia, rzucił słowa.

— Dobywamy Hieronimka!

Świsnął i popędził na przełaj łąkami do lasu.

Gospodyni podniosła obie ręce do góry, oniemiała.

Oblężenie.

Gospodyni mówiła prawdę, że Hieronimowi było dobrze w domu i że nie miał zamiaru wyjeżdżać.

Hieronim był jak wolny ptak w lesie, w polach, w łąkach. Próbował wszystkich koni, znał źrebięta lepiej, niż ktokolwiek, i miewał doskonałe przeczucia, z którego jednolatka wyrośnie najtęższy koń kopijniczy.

Na najlepszym koniu, wielkim ogierze, karym, Wołoszynie, którego Andrzej, brat wojujący w wołoskiej stronie, przysłał raz do domu, nikt nie jeździł, tylko Hieronim. Brat Marcin, bo nie miewał czasu, a inni, bo mało dbali o to, by popróbować czy kary Wołoszyn rozbije im głowę, czy nie.

Ale prawdziwe panowanie Hieronima zaczynało się w lesie. Las był wokół wszędzie. Ku północy łączył się z lasami łysogórskiemi. Tę stronę najbardziej upodobał sobie Hieronim i tam żył większą część swojego życia, odkąd pewnego dnia, zły bez pamięci na Marcina, który go wychłostał za jakąś przewinę, uciekł spłakany w las i biegł jak mały, wściekły wilk, aż póki nie upadł i nie zasnął na miejscu.

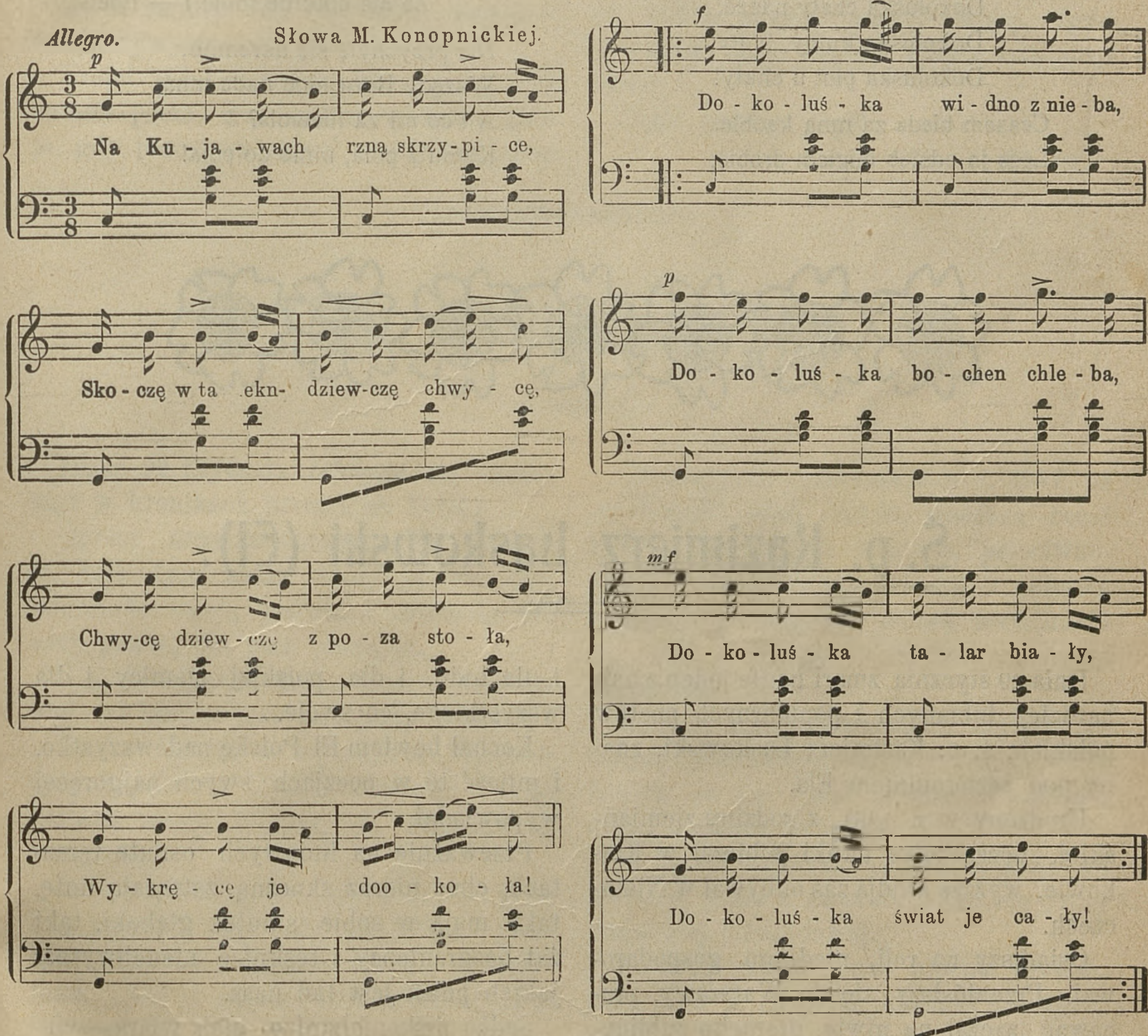
Miał wtedy z dziesięć lat i odtąd znajomość, którą z lasem zawarł, przeszła w przyjaźń nierozerwalną, w lubienie, które trzymało chłopca jakby tysiącem włókien powoli usnutych, wiosna za wiosną, zima za zimą. Każde z nich było inne, a wszystkie znaczyły to samo: czar, który ciągnęła w siebie stara, potężna puszcza, urok niepojęty jej milczenia, gwaru, życia i pustki.

Marcin nie wiele troszczył się o zabawy Hieronima, tylko raz, spostrzegłszy, że mały porwał z komory ojcowską, dobrą rusznicę, odebrał mu ją i zamknął wszystką cenniejszą broń domową w swojem schowaniu, w wielkiej skrzyni kowanej.

Hieronim niebardzo się zmartwił, bo rusznica była ciężka i nie było do niej prochu. Za to sporządził sobie łuk, pierwszy trochę koślawy, po nim inne, coraz lepsze.

(D. c. n.).

OBEREK.



Na Kujawach rżną skrzypice,
Skoczę w tanek, dziewczę chwycę,
Chwycę dziewczę z poza stoła,
Wykręcę ją dookoła!

Dokoluśka widno z nieba,
Dokoluśka bochen chleba,
Dokoluśka talar biały,
Dokoluśka — świat je cały!

Niech ta w podłuż tańczą pany,
Z izby za próg odbijany,
Na Kujawach — chwalić Boga —
Chłop nie przejdzie swego proga!

Kołem, kołem, po pod ściany,
Przez bok poła od sukmany,
Na łbie czapa, jak pół stoga,
Przy niej wstęga, że — laboga!

Kołem, kołem, po pod ściany,
Trzos rzęsisto nabijany,
A we trzosie dukat prawy..,
Jak Kujawy, to Kujawy!

Dokoluśka gniazda ptasze,
Dokoluśka chaty nasze,
Dokoluśka kumy, braty,
Dokoluśka płot u chaty!

Czasem bieda za mną ksobie,
Lecz ja odsieb migiem drobię;
Nim się bieda odsieb ruszy,
Ja znów ksobie, co mam duszy!

Chce mnie bieda za czuprynę,
To ja klęknę, to się zwinę,
To ku ziemi się przychylę,
Że nie dotknie mnie i — tyle!

Nie przychylę się daremno,
Wszędy Boża moc nade mną,
A i co mi za niewola?
Komu z pola, mnie do pola!

Ś. p. Kazimierz Laskowski (El).

Dnia 29 stycznia zmarł nagle jeden z najbardziej lubianych i popularnych poetów polskich, ś. p. Kazimierz Laskowski, znany pod pseudonimem Ela.

Urodzony w r. 1861, z rodziny ziemiańskiej, początkowe nauki pobierał w Krakowie, wyższe studja zaś odbywał w Niemczech.

Osiadłszy na roli, niedługo gospodarował. Przeniósłszy się do Warszawy, pracować zaczął na niwie literacko-publicystycznej.

Napisał szereg powieści i innych utworów prozą, lecz w całej pełni błysnął talent jego w utworach poetyckich.

Niekunsztowne są one i niepretensjonalne, lecz zato takie swojskie, takie drogie sercu i miłe, a przytem wszystkie zaczerpnięte z życia ludu, opisujące troski i radości jego...

Rozbrzmiewają one całą potęgą miłości i dla ludu, i dla polskiej ziemicy, i dla wszystkiego, co swoje...

Kochał bowiem El Polskę nadewszystko, i miłość tę w poezjach swych najgoręcej wypowiadał.

Przeważnie na ludowych osnute tematach, choć nieraz skoczną zatrącają nutę, taki mają w sobie smutek głęboki, taki żal bezgraniczny i tęsknicę nieuchwytną, jakich pełen jest lud nasz.

Jedna tylko brzmi w nich wiara—wiara w odrodzenie Polski przez lud... W nim widział poeta całą przyszłość i potęgę narodu... w to wierzył całą głębią kochającego serca swego...

Wypowiadał to w swych śpiewkach, wypowiedział też i w przepięknym tryptyku scenicznym p. t. „Pogrzeb", stworzonym pod wrażeniem znakomitego „Wesela" Wyspiańskiego.

Nie był Laskowski orłem poezji naszej,

lecz był jej skowronkiem... Miłym, przez wszystkich ukochanym skowronkiem, w przecudny dzień wiosenny lub letni wylatującym wzwyż ku niebu, ponad łany i niwy, i łąki, i miłem świergotaniem, sławiącym piękność ziemi rodzinnej...

Za to pamięć Ela na wieki pozostanie wśród żywych.

Umiał też i w surmę bojową uderzyć zmarły poeta, gdy dawne opisywał dzieje, gdy przodków sławił czyny waleczne.

Polskim poetą nawskroś był Laskowski i ta polskość właśnie największą mu jednała popularność i miłość, będące jedyną nagrodą na cierpieniami i zawodami zasłanej drodze życia jego.

Zgasł pieśniarz... Zgasł, nie dosnuwszy do końca przędzy pieśni swojej, zgasł w wieku, gdy jeszcze długie lata mógł tworzyć...

Cześć pamięci jego!...

Ed. Jez.

Ś. p. Władysław Bełza.

Dzień 29 Stycznia żałobnie się zaznaczył w kronikach literackich Polski...

Oprócz nieodżałowanego Ela, zmarł w dniu tym autor, który prawie całą twórczość swoją poświęcił dzieciom, dla nich pisząc, dla nich pracując...

Ś. p. Władysław Bełza, zmarły we Lwowie, nie obcym jest młodzieży polskiej...

Tysiące drobnych wierszyków, poświęconych dziatwie, hojnie rozrzucił on na kartach wielu książek, od elementarzy poczynając.

Nieśmiertelnym zaś dla dziatwy polskiej będzie wiersz jego „Katechizm polskiego dziecka", poczynający się od zapytania: „Kto ty jesteś?" i odpowiedzi: „Polak mały"...

W wierszu tym zawarł on wszystkie bóle i przykazania dzieci naszych...

Obiegł on też Polskę całą i rzadkiem chyba jest dziecię, któreby nie umiało go na pamięć ..

Urodzony w Warszawie w r. 1847, po ukończeniu nauk tamże, znaczną część żywota spędził na tułaczce, przeciwnościami losowemi przerzucany z miejsca na miejsca, wszędzie jednak pochłaniała go myśl o służbie ojczyźnie, o sprawie narodowej.

Jednym z najpiękniejszych czynów życia jego, jest budowa teatru polskiego w Poznaniu, za co przez Prusaków usunięty został z granic państwa.

Po latach tułaczki, osiadł na stałe we Lwowie, gdzie z zapałem oddał się pracy literackiej i narodowej...

Stamtąd rzucał swe piękne wiersze, jako siew w darze młodocianym czytelnikom.

W sercach też dziatwy polskiej pamięć jego na długie, długie lata pozostanie,

Ed. Jez.

Drobiazgi.

Kobiety - siłaczki.

Wiele się mówi o znanych siłaczach-mężczyznach, natomiast mało kto wie, że istniały zawsze i istnieją i dziś kobiety-siłaczki. Niegdyś Helena Ogińska, sławna zarówno z siły, jak z cnót i nauki, córka Kazimierza Ogińskiego, wojewody wileńskiego, małżonka Ignacego Ogińskiego, kasztelana wileńskiego, podczas wesela królewicza saskiego, Fryderyka, w Dreznie w r. 1719, mając lat 18, wszystkie rycerskie sztuki z taką zręcznością wykonywała ku ogólnemu podziwowi, że pierwszeństwo i wyznaczoną nagrodę zdobyła. Żyła lat 96, a w podeszłym już wieku talerze srebrne w trąbkę zwijała i rozwijała, talary łamała.

Córka zaś Marcina Cieńskiego, regimentarza, który przewyższał siłą Augusta II, odziedziczyła po ojcu siłę również niezwykłą. Opowiadano, że gdy raz w jej domu poważniło się dwóch szlachciców, pogodziła ich w ten sposób, że wziąwszy obu razem za pasy, wyrzuciła przez otwarte okno do ogrodu.

KRONICZKA.

△ Nowy rząd Turcji udzielił przedstawicielom mocarstw bałkańskich odpowiedzi, którą oni uznali za niewystarczającą. Na tej podstawie rokowania pokojowe zostały przerwane, i działania wojenne na linji czataldżyńskiej rozpoczęły się w poniedziałek, dnia 4-go Lutego, o godz. 7-ej wieczorem.

Znów się więc poleje krew walczących narodów.

Bułgarzy pewni są, że osiągną zwycięztwo, lecz teraz zapewniają, że nie poprzestaną na zdobyciu pozycji czataldżyńskich, lecz wkroczą do Konstantynopola.

Turcy znów zapewniają, że siły ich obecnie są tak potężne, że nietylko złamią siły oblegających wojsk bułgarskich, ale i odzyszczą utracone pozycje.

△ Warszawie przybyła nowa instytucja artystyczna. Jest nią nowy teatr polski, wzniesiony z funduszów osób prywatnych, który ma służyć celom czystej i prawdziwej sztuki. Na pierwszem przedstawieniu, z niezwykłym u nas przepychem, wystawiono arcydzieło Zygmunta Krasińskiego „Irydjon".

△ W Sosnowcu, w fabryce Huldszińskiego, nastąpił wybuch kotła. Ofiarami wypadku padło szesnastu robotników, z których sześciu zmarło na miejscu.

△ W Warszawie zmarł ś. p. dr. Bolesław Gepner, jeden z najbardziej zasłużonych lekarzy okulistów polskich.

Kalendarz szkolny, jak wskazuje nazwa, rozsyłany będzie wszystkim prenumeratorom na początku roku szkolnego.

Warunki prenumeraty

	w Warszawie	z przesyłką
Rocznie	rb. 4 —	rb. 5 kop. —
Półrocznie	„ 2 —	„ 2 „ 50
Kwartalnie	„ 1 —	„ 1 „ 25

Za granicą rocznie rb. 5 kop. 50

Za odnoszenie do domu 10 kop. kwartalnie.

Do numeru dzisiejszego (6-go), dołącza się dodatek bezpłatny za Styczeń pod tyt. **Z życia obozowego skautów.**

TREŚĆ NUMERU:

Redaktor i wydawca: **Marja Bujno-Arctowa**. Druk M. Arcta w Warszawie, Ordynacka 3.